

KORFANTÓWKA

Jednodniówka Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Katowice ul. Teatralna 4, WYDAWCA: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo



Dominika Panaszek – Duch Powstania

KONKURS „KORFANTASTIC”

Pamięć o wydarzeniach, które miały miejsce po Wielkiej Wojnie na Górnym Śląsku jest nieustannie żywa, zwłaszcza obecnie, gdy od 2019 roku celebруемy uroczystości związane z setną rocznicą powstań śląskich.

W 1919 roku podczas Konferencji Paryskiej powołano komisję do spraw polskich (tzw. Komisję Cambona, od nazwiska przewodniczącego), która miała uregulować kwestię granic odradzającego się państwa polskiego. Początkowo komisja, m.in. dzięki wsparciu Francji, przyznała cały Górny Śląsk Polsce. Spotkało się to jednak ze sprzeciwem Wielkiej Brytanii, która nie chciała zbyt dużego osłabienia Niemiec. Obawiano się bowiem, że może to doprowadzić tam do wybuchu rewolucji. Ponadto Brytyjczycy obawiali się, że słabe Niemcy ułatwią dominację Francji na kontynencie. Dlatego też ze względu na sprzeciw strony brytyjskiej i niemieckiej ostatecznie postanowiono, że o przynależności państwowej tego terenu rozstrzygną mieszkańcy poprzez plebiscyt, którego datę wyznaczono (późniejszą decyzją mocarstw) na 20 marca 1921 roku.

Pierwsze powstanie śląskie, poprzedzone masakrą w Mysłowicach oraz skomplikowaną sytuacją polityczną, wybuchło z 16/17 sierpnia 1919 roku. Skończyło się już po kilku dniach, Niemcy mieli bowiem zbyt wielką przewagę liczebną nad powstańcami oraz byli zdecydowanie lepiej uzbrojeni. Kolejne powstanie rozpoczęło się w nocy z 19/20 sierpnia 1920 roku jako reakcja na niemieckie ataki, spowodowane nieprawdziwymi pogłoskami o klęsce Polski podczas

wojny polsko-bolszewickiej. Zakończyło się zwycięstwem. W efekcie Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa utworzyła mieszane polsko-niemieckie jednostki policji Abstimmungspolizei (Apo), w miejsce usuniętej niemieckiej policji Sicherheitspolizei (Sipo).

Wraz ze zbliżającą się datą plebiscytu na ziemiach Górnego Śląska wzrastał terror i propaganda. Wyniki plebiscytu nie rozstrzygnęły ostatecznie problemu przynależności państwowej tego terytorium, ponieważ każda ze stron w różny sposób interpretowała jego rezultat i konsekwencje z tym związane. Na wieść o możliwości nieprzychylnego dla Polski podziału spornych ziem, postanowiono działać. III powstanie wybuchło w nocy z 2/3 maja 1921 roku. Trwało ono najdłużej, bo aż do lipca 1921 roku, w przeciwieństwie do poprzednich powstań, które trwały o wiele krócej. W III powstaniu doszło do wielkiej mobilizacji ludu górnośląskiego, ponad 50 tysięcy powstańców z bronią w ręku walczyło bowiem z Niemcami, m.in.: o Górę św. Anny, Gogolin, Koźle. Powstańców wspierali ochotnicy z całej Polski. W wyniku powstania Rada Ambasadorów zatwierdziła ostatecznie decyzję o korzystnym dla państwa polskiego podziale Górnego Śląska. Mimo że Polsce przypadła mniejsza część terytorium, to znajdowało się tam więcej kopalni i hut, co pozytywnie przyczyniło się do gospodarczego rozwoju II Rzeczypospolitej Polskiej.

Oddajemy w Państwa ręce specjalne wydanie „Korfantówki”, które jest efektem nawiązania współpracy Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego z XVII Dniami Fantastyki, odbywającymi się w dniach 20-22 sierpnia 2021 r. w Cen-

trum Kultury Zamek we Wrocławiu. W ramach wspólnego działania postanowiliśmy przeprowadzić konkurs „Korfantastic”, którego celem jest promocja historii Górnego Śląska, powstań śląskich oraz osoby Wojciecha Korfantego właśnie poprzez wykorzystanie fantastyki.

Konkurs składał się z dwóch kategorii: literackiej i plastycznej. W ramach pierwszej z nich można było przesłać niepublikowane dotąd opowiadanie historyczno-fantastyczne inspirowane powstaniami śląskimi, powstańcami, plebiscytem na Górnym Śląsku, czy w ogóle Górnym Śląskiem z lat 1919-1921, a także postacią Wojciecha Korfantego. W kategorii plastycznej zadaniem było przesłanie grafiki stworzonej w konwencji fantastycznej również inspirowanej powyższymi historycznymi zagadnieniami.

Na potrzeby konkursu „fantastykę” czy „konwencję fantastyczną” postanowiliśmy rozumieć bardzo szeroko, uznaliśmy w tym również science-fiction i wszelkie odmiany fantastyki, dzięki czemu autorzy prac konkursowych mieli nieograniczone możliwości zabawy konwencją, budowania nowych światów, tworzenia historii alternatywnej, czy postapokaliptycznych wizji.

Cieszymy się, że nasz pomysł spotkał się z zainteresowaniem, gdyż jest to jedna z metod utrwalania pamięci o ważnych wydarzeniach, jakimi były powstania śląskie oraz o postaci Wojciecha Korfantego.

Autorzy zabrali nas w podróż od czasów powstań śląskich do współczesności. Mamy tutaj opowiadania o oszukaniu śmierci, o wskrzeszaniu zmarłych. Możemy poznać futurystyczne maszyny zaangażowane w walki. Spotykamy anioły, próbujące

pomóc powstańcom, a także śląskie stworoki: hekсы i utopce. Jest też wizja Katowic po katastrofie jądrowej. Bohaterami są zwykli mieszkańcy Górnego Śląska, często powstańcy, lecz również prawdziwe postaci historyczne, w tym sam Wojciech Korfanty, oraz jego potomkowie. Dziękujemy wszystkim uczestnikom za nadesłane prace, była to niezwykle interesująca lektura.

WYNIKI KONKURSU „KORFANTASTIC”

Jury składające się pracowników Działu Historii pod moim przewodnictwem postanowiło w kategorii LITERACKIEJ, nagrodzić następujące opowiadania:

Wysłannicy – Przemysław Karbowski;
Góra świętej Anny – Maciej Rapa;
Skarbek-1 – Kamil Bednarek;
Kurier – Małgorzata Sikora;
Przechera – Lisiol.

Ponadto zdecydowaliśmy się wyróżnić 3 dodatkowe utwory:

Koszmar w Brzeźcach – Emil Zawadzki;
Oszustwo na trupa – Patrycja Paliczka;
U235 Pu239 – Powstanie z mroku – Dominika Panaszek.

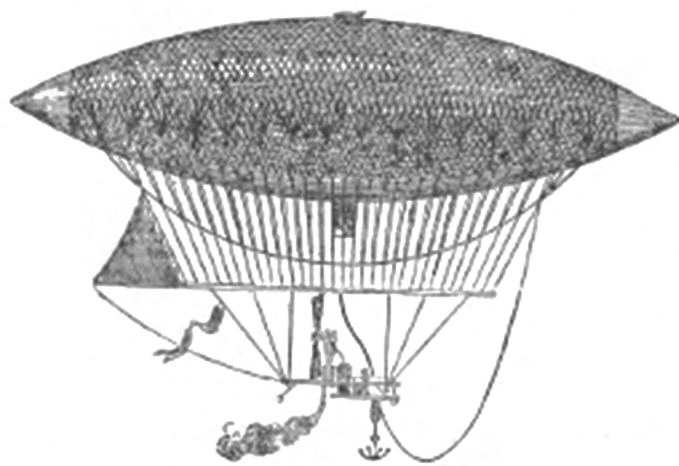
W kategorii PLASTYCZNEJ nagrodziliśmy 1 grafikę:

Duch powstania – Dominika Panaszek.

Czytelnicy „Korfantówki” mają niepowtarzalną okazję zapoznać się ze wszystkimi nagrodzonymi oraz wyróżnionymi pracami na kolejnych stronach tego numeru. Tekstom towarzyszą futurystyczne grafiki z dwudziestolecia międzywojennego przedstawiające wczesne wyobrażenia przyszłości.

Gratulujemy Laureatom!

prof. Zygmunt Woźniczka



Pierwszy balon silnikowy Henryka Giffarda, „Naokoło Świata” 1924, nr 5, s. 37-38.
Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa



Huragan rozszalał się wokół samotnego plutonu, „Naokoło Świata” 1925, nr 15, s. 67-68. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa



Kruszenie skał, „Naokoło Świata” 1925, nr 15, s. 77-78. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa



Kapitan chemicznej artylerii, „Naokoło Świata” 1924, nr 3, s. 79-90. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa



„Statek” krążący nad okolicą księżyca, „Naokoło Świata” 1924, nr 5, s. 87-88. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

Pędził, podając się naprzód, „Naokoło Świata” 1924, nr 3, s. 73-74. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa



Zapach ropy o poranku - Dieselpunk

MAGAZYN
BIAŁY KRUK

Fantastyka nie raz udowodniła, że potrafi rozwinąć koncepcje, które na pierwszy rzut oka wywołują myśl: „to tak się da”?

Nie inaczej jest z konwencjami posiadającymi rozpoznawalny i buntowniczy w swojej naturze sufiks -punk. Większość czytelników kojarzy zapewne cyberpunk lub steampunk, jednak lista ich derywatów jest całkiem długa i by opisać je wszystkie dokładnie potrzebowalibyśmy nie krótkiego artykułu, a całej monografii. Dlatego skupmy się na jednym konkretnym przypadku – dieselpunku.

Wyobraźmy sobie świat przedstawiony rodem ze starych filmów noir, gangsterskich i wojennych. Świat, w którym zdaje się, że lata trzydzieste i czterdzieste nigdy nie minęły, choć technologia wciąż się rozwija, wojna nadal trwa, a zagrożenie ze strony krajów totalitarnych, chcących w imię ideologii lub kaprysu swoich wodzów podbić świat, jest wciąż żywe. Alternatywnie, by przywołać bardziej swojejskie wizje, możemy wyobrazić sobie wieczne dwudziestolecie międzywojenne, podczas którego powstały kroczące maszyny, rodem z 1920+ Jakuba Różalskiego. Widzicie te wizje w swoich głowach? Zatem witamy w dieselpunku!

Pierwszy raz tego terminu użył w 2001 Lewis Pollac, opisując swój system RPG Children of the Sun. Z początku miał to być chwyt marketingowy, ale od tamtego czasu dieselpunk zaczął żyć własnym życiem, otwierając nowe drogi twórcom literatury, filmów, gier czy ilustratorom, tworząc swoistą subkulturę i retroaktywnie zagarniając w swój zakres dużo wcześniejsze dzieła.

Na razie dieselpunk jest bardziej popularny na Zachodzie, zwłaszcza w krajach anglosaskich, gdzie doświadczenia okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej są inne niż u nas. Jednak powoli i w Polsce przeciera szlaki, czego przykładem jest wspomniany wcześniej cykl malarski 1920+, który zapoczątkował na rodzimym gruncie trend, na podstawie którego powstały gry Scythe (planszowa), Iron Harvest (komputerowa) czy wieloautorska antologia opowiadań Inne Światy, wydana przez SQN.

Dieselpunk czerpie inspirację z okresu od lat 20 do lat 50 dwudziestego wieku. Ważne jest właściwe użycie (podobnie jak w steampunku) stylu epoki, z podkreśleniem zachowań społecznych i technologii. Często, choć nie jest to zasada, o czym za chwilę w części poświęconej nurtom, świat przedstawiony cieszy się przedłużającą się atmosferą jazzu i dekadencji dwudziestolecia międzywojennego oraz wielkim entuzjazmem technologicznym i nadziejami na przyszłość.

Warto wiedzieć, że dieselpunk ma dwa oblicza, nazywane Ottensiańskim i Piecraftiańskim, a podział ten został zaproponowany przez autora bloga The Flying Fortress. Zaczniemy od pierwszego nurtu, nazwanego od jednego ze znawców i teoretyków tej konwencji Nicka Ottensa. W tej wersji dieselpunka broń jądrowa, jeśli w ogóle istnieje, jest jedynie technologią eksperymentalną. Często opisuje się, że wielki kryzys ekonomiczny lat trzydziestych nigdy nie nastąpił, dzięki czemu całość jest definiowana przez optymistyczny, niepowstrzymany postęp technologii i niezachwianą wiarę w przyszłość. Drapacze chmur wznoszone są w stylu Art Deco, a zeppelin w wciąż przemierzają niebo. Jest to chyba najbardziej atrakcyjny typ dieselpunka i z pewnością najbardziej optymistyczny. Nurt ten również dzieli poruszane tematy i estetykę z tym, co dziś uważa się za retro-futuryzm. Dobrymi przykładami mogą posłużyć filmy Sky Kapitan i świat jutra (2004) lub Człowiek rakiet (1991) łączące elementy pulp fiction z epoki i właśnie tą retro-futurystyczną estetykę w niemal utopijnym świecie.

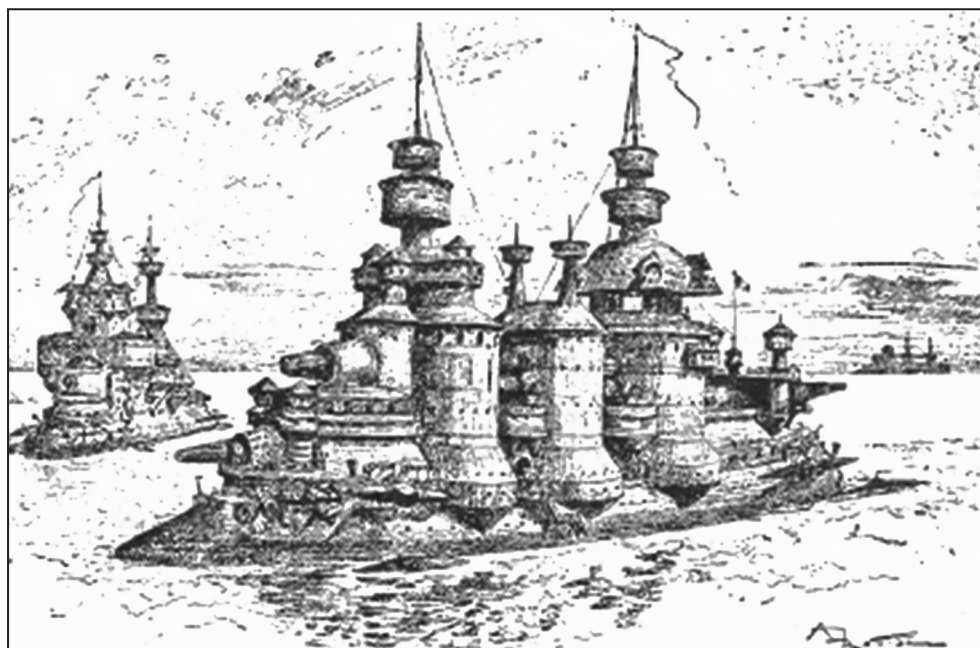
Nurt Ottensiański ma również swoją ciemną stronę, cechującą się strachem przed niepewną przyszłością lub eksplorującą mroczną stronę ludzkich dusz. Przykłady, takie jak film Casshern (2004) czy japońskie anime The Big O (1999), wykazują większe wpływy filmu noir, nawiązujące do kryminałów hardboiled, jakie pisał dla przykładu Raymond Chandler, autor powieści o prywatnym detektywie Philipie Marlowe. Ba, nawet Batmana (1989) Tima Burtona zaliczyć można do mroczniejszego dieselpunka Ottensiańskiego.

Z kolei Piecraftiański dieselpunk jest już pełną gębą ponurą stroną konwencji. Podczas gdy Ottensiański może od czasu do czasu zagrać mroczniejsze tony, zawsze pojawia się w nim promyk nadziei na lepsze jutro. Piecraftiański natomiast, jak mówi sam Piecraft od którego wzięła się nazwa, jest spojrzeniem na dystopię w stylu 1984 Georga Orwella. W tym świecie druga wojna światowa jest centralnym elementem światotwórczym, albo wciąż trwa, jako przedłużająca się zimna wojna, albo została wygrana przez mocarstwa Osi, albo tak zdewastowała świat, że nie ma już powrotu. Philip K. Dick i Robert Harris zakładają to drugie w swoich powieściach Człowiek z Wysokiego Zamku i Vaterland.

Nurt Piecraftiański dzieli się na kolejne dwa podrodzaje dieselpunka, zależne od wyniku wojny. Pierwszym jest świat rządzony przez państwa Osi lub inną dyktaturę, kontrolowany siłą, pokazującą prawdziwe oblicze dystopii. Kolejne spojrzenie łączy się już z postapokaliptycznymi wizjami, gdzie po tym, jak spadła ostatnia bomba, świat stanął na skraju ostatecznego upadku, trzymając się jedynie dzięki resztkom technologii oraz ropy naftowej, czego dobrym przykładem może być seria filmów Mad Max.

Oczywiście jest to zaledwie czubek góry lodowej, jednak mam nadzieję, że zainteresowałem Was, drodzy czytelnicy do sięgnięcia po dzieła w tej konwencji. Może nawet do spróbowania w niej swoich sił? Jak wspominałem, polskie doświadczenia z okresu lat 20-50 XX wieku są zupełnie inne, ale czy to źle? Daje to nowe możliwości, niedostępne dla zagranicznych autorów. To jak? Czas na prochowiec i wciągnięcie w płuca zapachu benzyny?

Grzegorz Czapski



Pancernik XX wieku, „Naokoło Świata” 1924, nr 3, s. 81-82. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

WYSŁANNICY

Niechący kopnięty kałamarz poturlał się po podłodze do kąta lekcyjnej sali. Podporucznik Sitek nie patrzył pod nogi, choć walały się tam szkolne przybory i niemieckie podręczniki, pozrzucone z regałów, które wyniesiono do kłecenia barykad. Bardziej interesowały go okna. Sarkał pod nosem, że za wielkie, lustrował kolejny raz widok za szybą, wreszcie gestem zaprosił do środka dwóch stojących w drzwiach mężczyzn.

– Nie podchodźcie za blisko okien – zalecił Sitek. – Z tej strony najmniejsze niebezpieczeństwo od strzelców wyborowych. Doprawdy, nie wiem, skąd mieliby celować, ale nigdy nic nie wiadomo. Dla pewności sadzajcie gości w ostatnich ławkach. Katedrę przeciągnąłem pod ścianę.

Korfanty usiadł na podwyższeniu dla belfrów, poluzował krawat i skinął na Alfonsa Zgrzebnioka. Posępny jak żałobny kondukt szef personalny Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych wygrzebał z teczeki ostatnie raporty i położył je na stole. Wszyscy trzej znali ich treść, ale wciąż nie dowierzali, bo i wieści były nie do wiary. W ciągu tygodnia Niemcy odbudowali sześć wysadzonych przez „wawelberczyków” mostów.

– Sześć... – zgrzytnął zębami Zgrzebniok. – W tydzień... To tak jakby wysadzić piramidę Cheopsa i odbudować ją w miesiąc. Ludzką mocą niewykonalne.

– Nie tylko ludzkie moce na świecie. – Wzruszył ramionami podporucznik Sitek. – A że Niemcom z czartem zawsze po drodze...

Wściekły Korfanty walnął pięścią w blat katedry.

– Czy wyście zwariowali?! Co wy, podporuczniku, sugerujecie? Że magią odbudowali wiadukty i mosty? Że zaprzęgli biesa do stawiania przęseł w kilka godzin?

Sitek nie odpowiedział. Uchylił drzwi klasy i posłał jednego z trzymających wartę powstańców po coś do picia. Cerber pognął korytarzem aż się kurzyło.

– Bywają takie przypadki – odezwał się Zgrzebniok. – Nie słyszał szanowny pan o cyrografach, wzywaniu Szatana, zaprzędanych diabłu duszach?

– Szanowny pan słyszał – wycodził Korfanty. – Ale nie dowierzał.

Atmosfera nieprzyjemnie zgęstniała. Milczeli dopóki do klasy nie wszedł wartownik z herbatą i wodą sodową. Przejęty i wpatrzony w Korfantego jak w obrazek młodzian już otwierał usta, gdy Sitek

odebrał od niego tacę.

– Tylko mi tu posłusznie nie melduj – mruknął cierpko podporucznik. – I wracaj do obowiązków.

Zaspokoiwszy pragnienie wodą sodową, Alfons Zgrzebniok spojrzał na cyferblat longinesa.

– O której mają być?

– O trzeciej. – Wojciech Korfanty dopił herbatę. – Chcą rozmowy na osobności. Sami rozumiecie. Ponoć sprawdzeni?

– A jakże! – Zgrzebniok ożywił się, przeglądając służbową notatkę. – Przeszłość w Błękitnej Armii, rekomendacja generała Hallera i samego Dmowskiego. Nie mam pojęcia, czy to ważne, ale podobno znają się ze Skłodowską...

– Że co proszę? – Sitek aż się zakrztusił wodą. – Wojskowi od Skłodowskiej?

– Tak tu mam napisane. Gabriel Niebiesiech, porucznik. I kapitan Michał Anhelli.

– Włoskie korzenie? – spytał Korfanty.

– Licho wie, takiej informacji nie mam.

Tym razem podporucznik sprawdził godzinę i podeszedł do okna. Ulicą podjeżdżał pod szkołę automobil.

– Są... – szepnął Sitek. – Boże jedyny, toż to olbrzymy...

Rzeczywiście. Szofer salutował przybyszom o niemal dwumetrowym wzroście. Barczyści, w wojskowych płaszczach bez dystynkcji, już podeszli do wejścia uzbrojeni w list polecający, nad którym pochylali głowy pilnujący drzwi szkoły powstańcy.

Podporucznik Sitek sprawdził lugera. Wciąż miał wewnętrzne opory przed zostawieniem Korfantego sam na sam z tajemniczymi wysłan-

nikami Bóg wie kogo, ale Zgrzebniok stanowczo pociągnął go na korytarz.

Na dębowej pustyni blatu katedry błyszczała maleńka jak apteczny odważnik buteleczka. Może z proszkiem, może z płynem? Korfanty świdrował ją wzrokiem przenosząc go z butelki na niezwyklej emisariuszy. Myśl, że śni albo oszalał była kusząca, ale przeczyło jej choćby zimno rewolweru, który z odwiedzionym kurkiem zdążył schować do szuflady biurka zanim weszli dziwni goście. Chciał zagrać na zwłokę choćby ironicznymi pytaniami.

– Ale kto w imieniu Niemców podpisał ten... cyrograf? Ci sami co traktat wersalski?

– Personaliami przejmowałbym się najmniej. – Porucznik Niebiesiech głos miał surowy, o jakby metalicznym brzmieniu. – Tu nie chodzi o to, czy mosty odbudowały diabelskie pułki czy dywizje, czy śmierdzieli siarką i zamiatali chwostami używając piekielnej mocy, tylko o to kto tymi mostami przejedzie. Reichswehra, panie Korfanty. Nie oberwajmy z pikielhaubą po dziadku, z zardzewiałymi flintami na czarny proch, nie żaden Selbstschutz, choćby i nafaszerowany weteranami. Wreszcie nie żadne syfilityczne dzieci niemieckich hrabiów na ślicznych konikach. To będą szwadrony kawalerii z Oławy, Namysłowa, Oleśnicy i Milicza. Już jadą. Armia, panie Korfanty. Regularna armia. Bataliony piechoty, które rozgniotą was jak wszy. I co zrobicie? Poprosicie Witosza żeby przysłał polskie wojsko? Wywołacie wojnę?

Korfanty zacisnął zęby. Witosza już o nic nie będzie prosił! Jeszcze wczoraj przyszła kolejna depesza od premiera, gdzie przez wszystkie przypadki odmieniano słowa „samowola”, „prowokacja” i tym podobne...

– Mam podpisać cyrograf à rebour?

– A skąd wiecie, że Niemcy cokolwiek podpisali? – zapytał kapitan Anhelli. – A niechby i podpisali, żądając od Lucyfera hegemonii w Europie choćby za sto lat? Dlaczego nie dopuszczacie

myśli, że ot tak, samo z siebie, Piekło przyszło im z pomocą?

Korfanty wstał zza katedry i zszedł z podestu. Syknął z bólu, bo nadepnął na kałamarz, wykręcając stopę.

– Ta rozmowa nie ma sensu. – Dyktator powstania ponownie usiadł. – Wy jesteście delegowani do zrobienia ze mnie wariata. Nic nie podpiszę! Na nic się nie zgadzam!

Porucznik Niebiesiech zniecierpliwiony zabębnił palcami w stół.

– My nie stawiamy warunków, jakby to absurdalnie nie zabrzmiało, za zaprzęgnięcie duszy Niebu! – warknął. – My zwracamy się do was, jako do przywódcy powstania, abyście wyrazili zgodę na pomoc. Marii Skłodowskiej i naszej.

– Wiemy, co wam się marzy – wtrącił się Anhelli. – Ale nic z tego. Nie będziecie premierem Polski, bo Witosz zawsze będzie o krok przed wami. Jest plan reformy rolnej w Rzeczypospolitej. Do parcelacji miało być pięć milionów hektarów i to nawet z ordynacji rodowych, ale Witosz zgodził się na dwa miliony. To go teraz ziemiaństwo po nogach będzie całować. Rozumiecie? Mając przeciwko sobie i chłopów, i ziemian, nigdy nie będziecie premierem. Nawet jeśli wygracie to powstanie. Ale cóż znaczą osobiste ambicje wobec Polski z Górnym Śląskiem?

Korfanty jeszcze raz spojrzał na buteleczkę. Według słów Anhelligo i Niebiesiecha można tym wytruć połowę ludzi na świecie. A starczy odrobina żeby w męczarniach padło trupem wszystkie trzydzieści dziewięć pułków Reichswehry, jeśli będzie taka potrzeba. Albo chociaż te, które już ruszyły na odbudowane diabelską mocą mosty. Dyktator powstania uszczypnął się w udo, jakby mało mu było bólu skręconej na kałamarzu kostki. Nie obudził się. Wciąż siedzieli przed nim dwaj weterani Błękitnej Armii, wciąż błyszczała na blacie butelka z polonem; dar Marii Skłodowskiej dla odrodzonej Polski.

– Jutro dam odpowiedź – powiedział głucho Korfanty. – Albo jeszcze dziś.

Anhelli i Niebiesiech wyprężyli się po wojskowemu i wyszli z klasy.

Franciszek Sitek patrzył przez okno jak do automobilu z trudem pakując swoje ogromne sylwetki niedawni goście Wojciecha Korfantego.

– Dałbym głowę, że pod płaszczami coś na grzbietach chowają. – Podporucznik zmrużył oczy. – Jakies plecaki albo... skrzydła?

Korfanty zgromił go spojrzeniem.

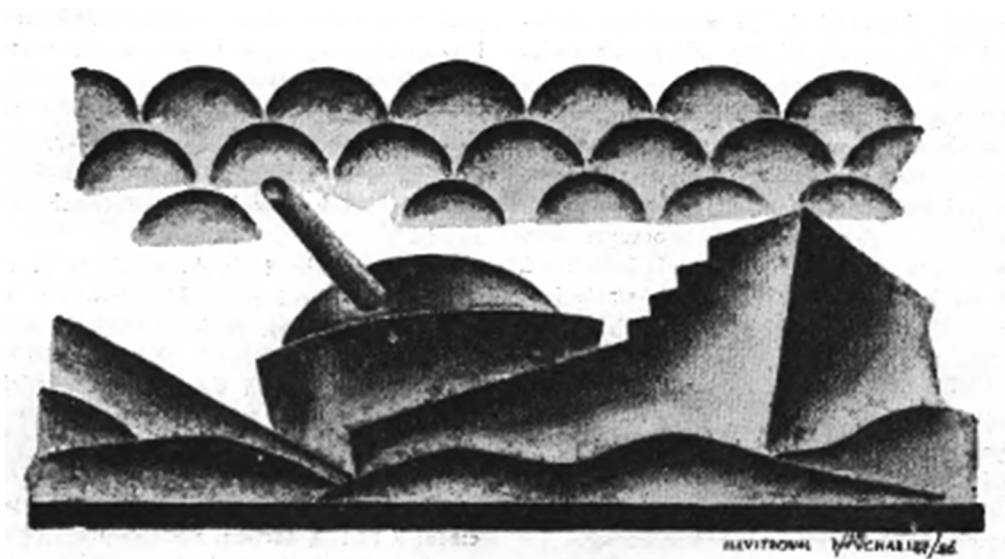
– Nie dawajcie głowy, podporuczniku. Jeszcze się przyda...

Przemysław Karbowski



Manc przytknął oko do szkła, „Naokoło Świata” 1924, nr 5, s. 137-138. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

GÓRA ŚWIĘTEJ ANNY



„Naokoło Świata” 1926, nr 24, s. 25-26. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

Straszna była to bitwa. Przed dniem kiedy się zaczęła, wszyscyśmy siedzieli przy ogniu, pod gwiazdami i niebem, jak atrament ciemnym. Wczesnym majem się to działo, chłód nadal trzymał. Chociaż do ogniska syto chrustu narzuciliśmy, to drżał każdy i milczał tylko. Ale to nie zimno tak nami trzęsło. To strach nas szarpał. Żaden się przyznać nie chciał, ale ja swoje wiedziałem. Sam się bałem, chociaż już w dwóch poprzednich powstaniach z latałem.

Tak to właśnie wyglądało na górze Anny przenajświętszej, babuni Chrystusa. Co rusz ktoś w stronę krzyża na zadaszeniu spoglądał i mruczał modlitwy pod nosem. Było i kilku na kolanach przed kaplicami, chociaż kaprał spać kazał. Kłócił się z nimi z początku;

– Ważny dzień jutro! Bić się z Freikorpsem będziemy!

Nikt go jednak nie usłuchał. Jacek tylko do niego podszedł, dłoń na ramieniu położył i szepnął na ucho;

– Wiemy. Wszyscy wiemy, ale nam nie snu, a nadziei potrzeba.

To już wtedy poznał dowódca, że tu nie ma co języka strzepić. Ręką machnął, głową pokiwał i odszedł. Mówił, że na papierosa do kalwarii poszedł, ale Jacek widział go przed domem Jezusa. On też się bał, kaprał też człowiek. Nawet jak zrugą, jak reprimendy udzieli. To wszystko dla dobra. Do tego momentu żałuję, że wcześniej tak źle o nim mówiłem. Nawet mnie korciło co by go przed bitwą przeprosić i teraz żałuję, bo szybciej kula do jego głowy dotarła niż słowo moje.

No, nie o tym teraz...

Świt był przyjemny. Widok ładny. Wzgórze niezbyt wielkie, ale wsie na zachodzie dojrzelśmy. To wtedy Jacek się rozpłakał, bo dom swój w oddali zobaczył. Nawet iść tam chciał. Do matuli, do Marysi i babkę na cmentarzu odwiedzić. Mało co

sztucerem o ziemię nie cisnął. Tak się do przodu wyrwał, że go z Zenkiem przytrzymać musiałem. Doszedł w końcu do siebie, ale co rusz nosem pociągał.

Godzina równo ósma była jak szwaby natarcie rozpoczęły. Wstali z krzaków, zza drzew wyszli i jednym głosem wrzasnęli. Straszne to było. Jak chór jaki piekielny. Gdy bliżej podeszli to te mordy ich zobaczyliśmy. Metalem pokryte, ze ślepiami zielonymi. To właśnie tych gęb bez duszy się ludzie najbardziej bali. Nie karabinów, nie bagnatów jak szable długich. Tylko wynalazków zza Odry.

Kaprał dał rozkaz do salwy jak to tałatajstwo podeszło. Hukiem zgodnym ich położyliśmy. Tyle fuzji zagrzmiało, że aż się siwo przed oczami zrobiło. No i ten zapach prochu spalonego w nosie pozostał. Już myśleli, że sobie Freikorps odpuści, ale chwilę tylko po tym jak się dym przerzedził tośmy ich zobaczyli. Jeszcze bliżej nas.

Szli jak po swoim. Kilku padło, ale to kilku dosłownie. Ranni w tyle zostali i nic sobie z dziur w ciele nie robili. Kuleli niektórzy, ci co mocniej oberwali to nawet się czołgać zaczęli i jeszcze głośniej warczeli niż przedtem.

Dowódca głowę stracił i w panice szabelką machając krzyczał;

- Strzelać! Strzelać bez rozkazu!

To strzelaliśmy. Tylko iskry żeśmy widzieli, jak kule sięgały tych potworów. Sucho było tego dnia i słyszałem, że jak na prawej flance, przez las szturmowali, to ponoć od tych iskier właśnie się drzewa zajęły.

Kilku ludzi broń rzuciło. Powiedziało, że sprawa przegrana. Siedzieli załamani, a jeden to nawet uciec chciał. Daleko nie zaszedł, bo kaprał jak tylko go zobaczył to pistolet zza paska wyszarpał, koalicijkę rozerwał i dwa strzały puścił. Pecha miał młody, bo dowódca w nogi celował, ale widać los chciał, że się uciekinier potknął.

Tak mu ołów dziurę w brzuchu doprawił.

Widziałem ja kaprała. Smutny był. Podbiegł do młodego tylko i o wybaczenie prosił. Potem Jacek mi powiedział, że już pod wały szwaby podchodzą.

Oj, blisko byli. Gdzieś z lewej Zenek nawet na bagnety walczył. Mówili wszyscy jeszcze przed bitwą żeby na noże nie iść, bo nawet jak lepiej niż oni szermierkę umiecie, to im tylko zbroję zarysujecie.

Zenek nie usłuchał. Jednego położył. Nogę mu pod kolaniem ściął i jak tamten się przewrócił to ten na niego całym ciałem. Jak lis do nory zanurkował. Pod szyję ostrze wbił i zadolowany na wale stał. Uśmiechał się nawet, aby innym przykład dać. No i tak właśnie zginął. Kula pierś przeszła. Ustał, nawet karabin wyrwać z trupa chciał, ale od razu druga w nogę trafiła.

Potem cud nastąpił. Szwaby się cofać zaczęły. Krzyknęły te metalowe paskudztwa coś po swojemu i całe natarcie zrobiło w tył zwrot. Biegli do siebie z powrotem. Czasem tylko się odwracali i kilka kul na nas rzucali.

Takiego wiwatu to nigdy nie widziałem. Radość zapanowała. Jedni skakali, drudzy strzelali. Szkoda tylko, że Zenek nie doczekał tego...

Jak z Jackiem ja do niego podszedłem, to wiedziałem, że na próżno. Nie było, co ratować. Zamiast serca miał przestrzał. Pech, że akurat tam ranić go musieli, bo serce to on miał wielkie, całe ojczyźnie oddane, no i Gabrysi, ale Gabrysi już od lat z nami nie było. Pewno tam teraz siedzą razem, szczęśliwi.

Myśmy posmutnieli, ale kaprał podszedł i wzywać na zbiórkę zaczął. Mówił, że za szwabami gonić trzeba. Kłócić się nikt nie chciał, nie po tym jak dezterterowi kulę sprzedał. Niektórzy podnieśli karabiny i z ogniem w oczach na okupanta pobiegli. Inni ze strachem na twarzach, po dowódcy tylko spojrzeli i też poszli. Myśmy się z Jackiem z tyłu trzymali.

Tak żeśmy szli i patrzyli na trupy w metal ubrane i dreszcze nam po plecach tylko przebiegały. Bo jak to tak ten Freikorps robił, że metal z ciałem zszywał? W głowach się nie mieściło. Te szczęki żelazne, palce już za życia zimne i najgorsze ślipia. Jak gadzie jakieś. Jakby tam w ciele stygnącym się dusza dopalała.

To w drugim powstaniu nawet tak źle nie było. Tam to się widziało tylko jak kaleki wojenne na front przybyły i ręki czy nogi im brakło, to im

dawali, żeby nadal walczyć mogli. Już wtedy się takich bano. Nawet tak raz się zdarzyło, że jeden z nich... Adolf się nazywał, uciekł od szwabów i do nas dołączył. Po naszymu mówił, bo stąd był, tylko siłą do armii wcielony. Ale to on też ręce jedynie miał żelazne.

Opowiadał jak to za oceanem człowiek z Jugosławii to wszystko wynalazł i posprzedawał. Ja najpierw myślał, że to dziewczyna była, no bo Nikola, ale widać inaczej za granicami imiona działają. To miało ludziom z fabryk pomagać, inwalidom po wojnie, ale widać i na samej wojnie przydatne.

Mniejsza o niego, bo bitwa przecież nie skończona jeszcze.

Jak tak żeśmy szli i patrzyli na te trupy szwabskie, nagle z oddali huk głośny dobiegł. Potem świst powietrze poranne rozdarł i ziemia wybuchać zaczęła. Najpierw myślałem, że to piekło się przed nami otwiera, że dopełniły się słowa świętego Jana i apokalipsa nastąpiła.

Ale nie, Jacek mnie pchnął i krzyczy, że artyleria strzela, że trzeba się cofać. Chcieliśmy w tył, ale tyle kurzu w niebo wzbiło, że już nie wiedzieliśmy gdzie góra Anny, gdzie Freikorps, a gdzie nasi. Nic nie wiedzieliśmy, więc tak leżeliśmy i cichutko w duchu modlitwy szeptałiśmy, co by Maryja przenajświętsza nam rąbka sukni użyczyła, aby się schować pod niego i życie ocalić.

Mi się udało. Ostrzał się zakończył, Jacka jak brata ze szczęścia ścisnąłem i dopiero po chwili się spostrzegłem, że ja tylko rękę jego trzymam. Tyle z przyjaciela mojego zostało. Jedynie obrączkę uratować zdołałem.

Daj ty ją Marysi jego. Ja serca do tego nie mam. Po stokroć wołałbym na to pole wrócić. Jeszcze raz tam usiąść i w zielone ślipia bestii spojrzeć niż w oczy żony jego. Nie wybaczę sobie. Nie wybaczę, że to on za Śląsk polski zginął, a ja nadal tu dycham. To mnie powinni zabrać, nie jego.

Maciej Rapa

SKARBK-1

Paskudna, listopadowa pogoda za oknem i zbliżający się wieczór nie zachęcały do spacerów. Piec kaflowy dawał przyjemne ciepło, co odwracało uwagę od deszczu tłukącego w okna ich niewielkiego mieszkania w poniemieckiej kamienicy. Dlatego, kiedy tylko Staszek i Antek skończyli odrabiać zadania domowe, rozłożyli na wzorzystym dywanie elektryczną kolejkę, całe zastępy żołnierzyków i dwa spore roboty na baterie, które przysłała im ciocia z RFN. Często bawili się w ten sposób, dzieląc się na wojska polskie i niemieckie, by odtwarzać bitwy II Wojny Światowej. W kuchni mama spieszyła się z kolacją żeby tata mógł zjeść coś ciepłego po powrocie z pracy. Dziecięcej zabawie przyglądał się dziadek Alojz, który w przyszłym roku miał skończyć 85 lat. Był szczupły, wręcz chuderlawy, miał kościste dłonie, rzadkie, bielutkie włosy, zapadnięte i podkrążone oczy i garbił się siedząc w wysokim fotelu, obitym zielonym welurem. Na stoliku połączonym z lampką z brązowym, materiałowym kloszem, cicho grało radio. Dziadek słuchał audycji Radia Wolna Europa najciszej jak się dało, bojąc się, że sąsiad zza ściany może podsłuchiwać. Dlatego jasne radio tranzystorowe Guliwer, stało niemal przy jego uchu. Choć dziadek miał problemy z poruszaniem się, to słuch, wzrok i pamięć dopisywały mu doskonale.

– Żebyśmy my mieli jeszcze parę lat, to byście nie mieli się, w co teraz bawić – odezwał się dosyć niespodziewanie odrywając chłopców od ostrzegania robotów żołnierzami.

– O czym dziadek mówi? – zapytał Antek, o rok starszy ciemnowłosy chudzielec, wyjątkowo podobny do staruszka.

– Siadajcie bliżej, to wam opowiem – poprawił się w fotelu. – Wszystko zaczęło się zaraz po wojnie. Nasze okolice trafiły w niemieckie ręce, a oni

traktowali nas strasznie. Strach było wyjść z domu, ale jak żeśmy się dowiedzieli co się w Mysłowicach stało, to nie było wyjścia. 16 sierpnia, pamiętam, żeśmy zwyczajnie złapali za broń i wyszli. Walki trwały osiem dni, bo z drugiej strony Polska walczyła z Bolszewikami i musieliśmy sobie radzić sami. Te parę dni wystarczyło żeby wasz dziadek poznał Gerarda. On był inżynierem i konstruktorem, sam sobie wszystko w gospodarstwie budował i on mi powiedział, że potrzebuje pomocy. Pojechałem do niego aż za Sierakowice, a tam w podwórzu stało cudo. Aż mi włosy dęba stanęły, jak to zobaczyłem...

– Co to było, dziadku? – Staszek nie mógł wytrzymać z ciekawości.

– To był mechaniczny potwór – dziadek Alojz niemal całkowicie ściszył głos wypowiadając te słowa. – Gerard złożył pojazd z dwóch kanciastych ciągników na gąsienicach. Ciągniki te nie miały kabin, zostały tylko silniki i gąsienice, a połączone były kabiną pruskiego samochodu pancernego. Pamiętam, jak dziś, że nazywał się Erhardt. Wydawało się, że to wszystko ledwo się ze sobą trzyma, ale z drugiej strony było w tym coś pięknego. Cztery gąsienice, a nad tym kanciasta kabina z okrągłą wieżyczką, z której wystawało trzy lufy karabinów maszynowych. Dwie dodatkowe wystawił przez okienka w pancerzu. Kiedy go zapytałem co to takiego, odpowiedział, że wynalazek, który w następnej wojnie zapewni zwycięstwo.

– Skąd wiedział, że będzie następna wojna, dziadku? – zapytał Antek.

– Wtedy czuło się to w powietrzu – Alojz wzruszył kościstymi ramionami. – U nas na Śląsku cały czas było niespokojnie, na wschodzie ruscy... To musiało wybuchnąć, chłopcy, nie było innego wyjścia.

– A ten pojazd? – dopytywał Staszek.

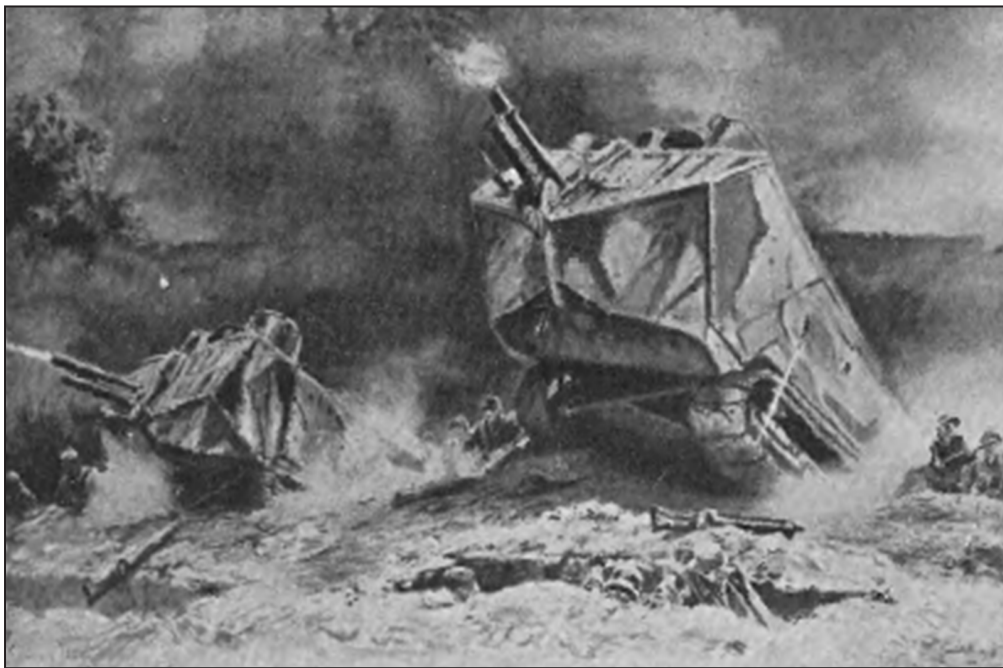
– Gerard uruchomił silnik i aż się ziemia trzęsła – w oczach dziadka wi-dać było iskry zachwytu. – Kopciło się z niego niemiłosiernie, ale ruszył i jechał powoli, a wieżyczka z karabinami obracała się. Myślałem, że w środku jest z pięciu ludzi, ale Gerard całe to cudo prowadził sam i sam mógł strzelać. Wiecie przecież, że w czołgu to czterech w załodze musiało być, a tutaj... Wyobrażcie sobie chłopcy, że każdy nasz żołnierz dostaje takie cudo. Problem był tylko taki, że złożenie tej maszyny zajmowało dobrych parę lat i wymagało masy części i pracy, a i tak czasami nie działała jak trzeba. Jeździłem wtedy do Gerarda w każdy wolny dzień i pomagałem mu usprawniać Skarbka-1, jak żeśmy go nazwali. Wybuchło wreszcie drugie powstanie, ale Skarbek nie był jeszcze gotowy w bój. Nie chcieliśmy go wysłać żeby nie wpadł w niemieckie łapy. Gerard wysłał plany do Warszawy, ale odpisali mu, że budowa takiej broni jest za droga i polecili porzucić ten pomysł. Drugie powstanie żeśmy jako tako wygrali, ale Niemcy nie dawali spokoju i wybuchło trzecie. Najpierw wszystko szło dobrze, ale kiedy doszło do walk o Górę Świętej Anny, nie mogliśmy już czekać. Gerard uznał, że ja lepiej jeżdżę Skarbkiem i zawieźliśmy maszynę w okolice frontu. Tam wsiałem do środka i pojechałem. Gerard wszystko przemyślał tak, że w środku trzeba było stać, a prowadziło się lewą ręką i stopami. Pamiętam jak dziś, że prawą nogą dawało się gazu, a lewą hamowało. W lewej ręce była wajcha do skręcania. Prawa odpowiadała za karabiny. Trzeba było się nauczyć tym walczyć, bo do każdego palca przypinało się linkę, którą trzeba było pociągnąć żeby karabin strzelił. Ten i ten – dziadek pokazywał powykrzywiane, spracowane palce – odpowiadały za karabiny wystające przez okienka, a te trzy za te na wieży. Na głowie miałem hełm z okularami, które pozwalały patrzeć też do tyłu. Do tej pory zachodzę w głowę jak ten diabeł to wymyślił, ale działało. Jechałem najszybciej jak się dało, ale dojechałem w ostatniej chwili. Niemcy byli blisko przerwania naszych linii. Gdyby to im się udało, to strach pomyśleć co by się dalej stało. Wielki oddział Freikorps wygnał naszych z ich pozycji, parł do przodu ile się dało, ale wtedy zza zabudowań wyjechał Skarbek-1. Najpierw zapadła cisza, nikt nie odważył się oddać strzału. Nasi słyszeli o tym, że mamy maszynę, ale nie wiedzieli jak wygląda, więc byli tak samo przerażeni jak Niemcy, ale jak zobaczyli napis na boku i orła na przedzie, to ryknęli, a mi aż w oczach

łzy stanęły. Zacząłem strzelać z tych karabinów, co miały lufy do przodu, a Niemcy odpowiedzieli ogniem. Tyle tylko, że oni padali i uciekali, a ich kule odbijały się od pancerza Skarbka. Tłukliśmy się strasznie, a wielką wadą Skarbka było to, że ropa szybko się wypalała. Ustawiłem się w dobrym miejscu i zgasilem silniki, a zająłem się tylko strzelaniem. Nie mogli wytrzymać takiego ognia i odstąpili wreszcie. My umocniliśmy nasze pozycję, a parę dni później przyszedł rozkaz, że będą rozmawiać i mamy zawieszenie broni.

– Co się stało ze Skarbkiem, dziadku? – chłopcy mieli rumieńce na policzkach.

– Po tym, jak wcielono Śląsk w granice Polski, został dołączony do armii – dziadek poprawił brązowy sweter. – A ja razem z nim. Władza zreflektowała się i poleciła Gerardowi i mnie stworzyć oddział takich machin. Dostaliśmy do pomocy żołnierzy, inżynierów, budowniczych, mieliśmy kowali, wszystkich, którzy byli potrzebni, ale wojna wybuchła za szybko. We wrześniu mieliśmy takich tylko osiem i to z karabinami, a Niemcy i Rosjanie mieli już czołgi. Gdybyśmy montowali armaty, to może... Ale same karabiny niewiele by nam dały. Walczyliśmy z Niemcami ile się dało, ale kiedy Warszawa skapitulowała, przyszedł rozkaz, by je zniszczyć. Nie mogły wpaść w ręce wroga, bo za dużo nowych pomysłów podalibyśmy im na tacy. Gerard nie chciał ich jednak wysadzać, więc sprowadziliśmy je pod ziemię, do kopalń. Tam Niemcy też szukali, bo bardzo im zależało żeby zdobyć te maszyny, ale jak dobrze wiecie, Skarbek w kopalni nie pokaże się byle komu i wy też nie mówcie byle komu, chłopcy, to nie są czasy dla takich wynalazków.

Kamil Bednarek



Czołgi w ataku na okopy, „Naokoło Świata” 1925, nr 13, s. 187-188. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

KURIER

Zbliżał się do niewielkiej wsi. Dzwon wybijał na Anioł Pański; przeżegnał się pośpiesznie.

Ciągle jeszcze nie wierzył, że to jego wyznaczono do tego zadania; dopiero co odrósł od ziemi, a wąs sypał się nieśmiało. Tyle było starszych od niego, tyle silniejszych, ale to on miał najszybsze nogi w całym oddziale.

List ciążył mu na piersi; chociaż z pewnością był leciutki jak piórko, jego waga była ogromna. Szymek na początku był pewien, że wysyłają go z przesyłką, dla żartu, ale gdy usłyszał do kogo miał dotrzeć ów pakunek, zmienił zdanie.

– Do dowództwa grupy „Północ” biegiem! Muszą o tym wiedzieć Nowak i Wyględa, a nawet sam Korfanty... – powtórzył w myślach słowa dowódcy.

Wychylił się za węgła chałupy położonej na obrzeżu wsi.

– Co się tak czaisz? – dobiegło go nagle z zarośli. W nich, skryta przed wzrokiem innych, tak jak on sam, pochylała się kobieta z burzą czarnych włosów. Przyglądała mu się ciekawie zbierając krwawnik.

– Przez wieś przejść muszę – odpowiedział Szymcio z rozbijającą szczerością – A nie chciałbym się natknąć na niemieckie patrole, bo podobno potrafią podbić człowieka za byle głupotę, pewnie o tym słyszałaś, starko.

– Starko? – kobieta najeżyła się okropnie, chociaż twarz miała już nie młodą – Niczyją starką nie jestem i nie będę – wydawało się, że obrazi się śmiertelnie, ale ciekawość wzięła jednak górę nad godnością – A gdzie to idziesz?

– Do domu, mieszkam parę kilometrów stąd, w Tworogu – skłamał.

– Ja już dobrze wiem ktoś ty. Powstaniec – powiedziała, uśmiechając się lekko.

– Chcesz wiedzieć jak przejść niezauważenie? Powiem ci. Poproś o pomoc stworoki – powiedziała, pukając się w czoło, jakby dla podkreślenia tej ważnej rady.

– Stworoki? – znał to słowo z bajęd swej babki, lecz dawno już nie zajmował się podobnymi głupstwami.

– Tak. Jeśli je obłaskawisz, pomogą.

Zaśmiał się krótko. Był w potrzebie, przyparty do muru, a ta kobieta właśnie rozwiąła jego wszystkie nadzieje na realną pomoc.

– Dziękuję, za taką radę. Sam sobie poradzę.

– A bo co? – zaczęła błyskać oczami – W czary nie wierzysz?

– Bajki są dobre dla dzieci i kobiet

– odparł – Potem się z nich wyrasta, starko.

– Mówiłam, żebyś nie nazywał mnie starką! – krzyknęła i nagle wszystko zawirowało.

Cała polanka stała się jednym drzeniem; wiatr zawiał i zamienił się w lej. Wirował chwilę przed zdenerwowaną kobietą, a potem popędził w stronę Szymona.

Chłopak uskoczył w ostatniej chwili, a wir pognał dalej. Nie zawrócił, lecz parł naprzód i z każdą chwilą rósł i rósł. Dotarł do pierwszego domostwa i porwał gdaczącą ciągle kurę, z drugiego zerwał strzechę z dachu. Przy trzecim wyrwał wszystkie sztachety przy płocie, lecz nie zamierzał się zatrzymywać.

Mieszkańcy wybiegli z domu ratować dobytek, a Szymon rzucił się przed siebie. Obracał się przez ramię raz po raz, ale nikt nawet go nie zauważył. W górze fruwało drewno, słoma i pierze.

Spotkanie z heksą, przypomniało mu o tym, w co jego babka święcie wierzyła, a on sam uznał za niepotrzebne nikomu bajki.

Stworoki były na świecie.

A jeśli one istniały to i ziarno prawdy musiało tkwić w tych wszystkich opowieściach, prawiących o dzielnych młodzieńcach, którzy z taką zaciętością przeciwstawiali się potworom i zmorom.

Właśnie nad tym rozmyślał Szymcio i parł przed siebie, aż dotarł do wartko płynącej odnogi Małej Panwi.

Po drugiej stronie, na powalonym pniu, niczego nieświadomi, grali w karty dwaj młodzieńcy w mundurach niemieckich.

Najciszej jak potrafił, ciągle mając ich na oku, zdjął buty, przeszedł po wystających kamieniach i już miał się znaleźć na drugim brzegu, gdy jakaś zimna i oślizgła dłoń schwyciła go za kostkę.

W wodzie dostrzegł parę ogromnych oczu utopca.

Nie namysławiając się długo, zerwał z szyi medalik i związał nim przegub potworka.

Utopiec skomlnął, próbował zanurzyć się pod wodą, ale siły magiczne go opuściły. Szymon bez trudu, jedną ręką, tak jakby podnosił dziecko, wyciągnął utopca na brzeg.

– Zostaw! Zostaw! – wrzeszczał stworok bez opamiętania, próbując się wyślizgnąć z uścisku ciała i srebra.

– Zostawię, jak coś dla mnie zrobisz – rzekł twardo Szymon – Wiesz tamtych dwóch? – wskazał

na przeciwną stronę brzegu, gdzie głośno i ostro rżnięto w skata – Musisz odwrócić ich uwagę...

– Niczego nie muszę – powiedział utopiec, unosząc się dumą – I nie zrobię tego bez nagrody.

– Jakiej nagrody?

– Dasz mi swoje buty – ton stworoka nie znosił sprzeciwu – Marzę o takich!

Cóż było robić? Perspektywa bosej wędrówki nie była miła, ale przecież dla Szymona nie była to pierwszozna.

Jak się dogadali, tak zrobili. Utopiec zważył selbstschutzowców nad brzeg rzeki, a Szymcio, nie myśląc o tym, co spotka tych dwóch, pobiegł przed siebie o bosych nogach.

Był tak blisko celu. Myślał już tylko o łóżku, choćby polowym i miseczce ciepłej strawy. Był zmęczony. Przed oczami zaczynały mu się roić dziwne fantasmagorie.

Piękna dziewczyna, otoczona nimbem światłości, o smutnych, wielkich oczach. Z jej ust wychodziła dziwna melodia, która mieszała się z wiatrem i razem z nim ulatywała.

Meluzyna!

Spostrzegła go właśnie w tej chwili i dawała nura w las.

– Zaczekaj! – krzyknął, oczarowany jej urodą – Nie uciekaj, proszę!

Zatrzymała się nagle. Podeszła do niego...

Nigdy jeszcze nie był tak blisko z dziewczyną, nawet na wiejskiej zabawie.

Odgonił te uporczywe myśli, by skupić się na ważniejszym celu.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział bezradnie – Ale nie pamiętam jak cię obłaskawić...

– Obłaskawić! – prychnęła gniewnie, wyginając usteczka – Obłaskawić? Chcesz mojej pomocy, a jednocześnie mówisz coś takiego?!

– Przepraszam. Twoja uroda odbiera mi rozum – przyznał zgodnie z prawdą.

– Chyba nie miała co odebrać – odparła dziewczyna, ale jej oblicze się rozpozodziło – Pomogę ci. Pod warunkiem, że dasz mi ten piękny medalik, który ściskasz w ręku.

Rzeczywiście, wciąż trzymał go w dłoni; nie mógł założyć go na szyję, bo łańcuszek został zerwany w czasie ujarzmiania utopca.

– Utopcowi dałem buty, to tobie mogę dać medalik – powiedział, podając jej go delikatnie – Ale jest zerwany.

– Nic nie szkodzi – odrzekła i wsunęła go pod sukienkę, w miejsce gdzie nie powinna znajdować się żadna relikwia – Tam – wskazała za dukt leśny

– stoi patrol niemieckiej samoobrony. Oczaruję ich i sprowadzę na manowce, a ty biegnij. Lecz pamiętaj, nie wolno ci się odwracać, aby na mnie popatrzeć. Wtedy ten czar dopadnie również ciebie.

Już mnie oczarowałaś, chciał jej powiedzieć, ale wiedział, że nie wypada.

I rzeczywiście, na jej jedno skinienie, na śmiech perlisty, mężczyźni pośpieszyli za nią posłusznie.

A on biegł. Biegł, ile sił w nogach i w płucach. Biegł, bo miał do wykonania ważne zadanie.

Ale... nigdy jej nie zobaczyć? Poznać i stracić?

Odwrócił się.

I zamarł.

Bo była piękniejsza niż księżyc w pełni i kwiat na polanie. Coś ugodziło go pod sercem. Miłość? Nie to wypuszczona kula. Spostrzegł go, gdy się zatrzymał...

Śmierć? Nie czas! Szybko przed siebie, trzeba donieść rozkazy. Trzeba...

Dzielny młodzieniec – powiedział zastępca dowódcy sztabu, Wyględa, przekazując wiadomość Nowakowi – Dobiegł do nas ostatkiem sił, powiedział, że ma list i padł. Proszę wybaczyć, lecz przeczytałem. Trzeba jak najszybciej poinformować Korfanteo. Musimy przegrupować oddziały, niemieckie siły są bliżej niż myśleliśmy. Otoczyły oddział, w którym służy ten chłopak.

– A co z nim? – chciał wiedzieć Nowak – Należą się mu podziękowania...

– Bardzo źle – odparł Wyględa – Leży w lazarecie. Lekarze nie dają mu większych szans...

– Jest poważnie ranny?

– Tak, nie wiadomo czy uda mu się przeżyć noc. Ale to nie ciało jest problemem. To z umysłem jest coś nie tak. Biedny chłopak. Ciągłe bredzi o stworokach...

Małgorzata Sikora

PRZECHERA

23 maja roku pańskiego 1921

Poranek był nieprzyjemny, chłodny i mglisty. Gęste opary przecaczały się ponad nurtem Olzy, sięgały niczym palce ku filarom mostu kolejowego, łączącego brzegi rzeki. Na barykadzie z kamieni oraz kawałków szyn siedziało kilku powstańców. Mężczyźni wpatrywali się w białe tuman, próbując dostrzec cokolwiek na opanowanym przez Niemców brzegu. Bezszykownie. Mgła była zbyt gęsta.

– Nie będą dziś próbować – mruknął siedzący na kamieniach Ludwik. – Za mało widać.

– Ja to bym właśnie w taką pogodę próbował – odparł Wojciech, nazywany przez kolegów Kajtkiem. Początkowo niski wzrost był powodem do drwin, ale pod ostrzałem trudno było znaleźć kogokolwiek, kto chciał wytykać Kajtkowi brak centymetrów. Mimo tego przydomek przylgnął na dobre.

– Słyszeliście? – wtrącił Bronek, siedemnastoletni chłopak, pełniący funkcję gońca.

– Co niby?

– Tam, w rzece. – Bronek podszedł do krawędzi mostu i wychylił się przez barierkę.

– Ryba może, chyba że germańce postanowiły się wykąpać – Kajtek zaśmiał się, ale natychmiast umilkł, gdy pośród mgieł rozległ się niski, wibrujący odgłos silnika.

Pośród tumanów zapłonęły ślepie, bliźniacze reflektory, po czym uniosły się wysoko ponad barykadę powstańców. Z mgły wyłonił się gigantyczny kształt.

– To-ten-kopf – wyszeptał Ludwik, odczytując nazwę na pancernym boku monstrum.

– Germańce mecha wypuścili!

Bronek biegł ile sił w nogach, odpychając na bok stojących mu na drodze ludzi. Ignorował przekleństwa zbierających się z ziemi powstańców i gnał pomiędzy namiotami obozu, rozłożonego w zagajniku, ponad dwa kilometry od mostu kolejowego. Chłopak potknął się i byłby upadł na twarz, gdyby w ostatniej chwili nie podparł się na łokciach.

– No, o co chodzi?

Bronek uniósł głowę.

Pułkownik Sikorski siedział w niedbałej pozie na przypalonym fotelu. Ubrany w czarną skórzaną kurtkę, która lepsze czasy ma już zdecydowanie za sobą, oficer spokojnie ćmił papierosa, jakby wokół

nie działo się nic godnego uwagi.

– Panie pułkowniku, germańce mają mecha! Wielkiego!

– Mhm. – Sikorski uniósł brwi – Jak tym składasz raport, chłopcze? – zapytał, wypuszczając z ust kłęby dymu.

– Panie pułkowniku! – Bronek zerwał się na równe nogi i zsalutował. – Melduję, że germańce mają mecha! Przejął most kolejowy!

Powstańcy otaczający fotel Sikorskiego zaczęli wpatrywać się niepewnie w kierunku Olzy. Tylko pułkownik pozostał nieporuszony. Siedział nieruchomo, uśmiechając się lekko, niczym posąg, w którym artysta zamknął całą znaną światu pewność siebie. Sikorski zaciągnął się nieśpiesznie dymem. Rzucił papierosa na bok, po czym wcisnął go w błoto obcasem wypolerowanych oficerów.

– Mecha mają? – powiedział, wstając. – No, to trzeba się gruchotem zająć.

Sikorski ruszył nieśpiesznym krokiem pomiędzy drzewami i wspiął się po wąskich, metalowych stopniach do brzucha swojej stalowej bestii. Prowadzący do kabiny chodnik wciśnięty był pomiędzy zbiornikami z łatwopalną mieszanką, metalowymi ścięgami oraz płataniną rurek, które dostarczały życiodajne chłodziwo do serca maszyny.

Pułkownik usiadł na poobijanym fotelu, położył dłonie na mosiężnych manetkach przepustnicy i przesunął je naprzód.

Z zagajnika wyłonił się stalowy kształt. Szedł nisko przy ziemi, wbijając w ziemię pazury z hartowanej stali. Długi, lisi pysk uniosł się wyżej, odsłaniając osmolone dysze miotaczy ognia. Umieszczone w uszach łopatki chłodnic otwarły się z trzaskiem, gdy machina zaczęła zasysać powietrze do wnętrza skraplaczy oraz chłodni. Uranowe serce maszyny zaczęło się rozgrzewać, gdy z wydechów strzeliły kłęby ognia oraz dymu, formując roziskrzoną kitę.

Przechera ruszył naprzód. Biegł z gracją, której nie sposób było podejrzewać po tak ogromnej maszynie. Maszyna Sikorskiego słyęła z szybkości oraz zwrotności, jednak ustępowała pod względem opancerzenia i siły ognia niemieckim machinom krocącym. Mimo tego obecność Przechery podniosło morale powstańców. W tym starciu nie liczyła się wielkość, ale ręka pilota.

Stalowy gigant kroczył naprzód, miażdżąc pod nogami stanowiska powstańców. Czarny, wysoki

na dobre dwadzieścia metrów potwór omiatał pole walki sprzężonymi działkami, zasypując uciekających przed nim ludzi deszczem fosforowych smug. Wielkokalibrowe pociski bez trudu przebijały umocnienia i ukrywających się przed ogniem powstańców.

Przechera wyłonił się spośród drzew, otwierając ogień z przednich karabinów maszynowych. Kule sięgnęły celu, ale zrykoszetowały od nitowanych boków niemieckiej maszyny. Sikorski nie łudził się, że tak łatwo poradzi sobie z przeciwnikiem. Chciał tylko zwrócić uwagę niemieckiego pilota.

Totenkopf zwrócił w stronę przeciwnika przypominającą czaszkę kabine, po czym zaczął obracać w kierunku wroga rozżarzone do czerwoności lufy. Seria z działek przeorała ziemię, ale Przechera był zbyt szybki. Mechaniczna bestia rzuciła się na Totenkopfa, plując ogniem z przednich dysz. Płomienie otoczyły trupią głowę niemieckiego mecha i sięgnęły składu amunicji na lewym barku. Eksplozja rozerwała ramię czarnego kolosa na strzępy, pozostawiając sterczące z korpusu kawałki poskręcanej stali. Totenkopf nie pozostawał dłużny. Uderzeniem pięści posłał przeciwnika na ziemię, po czym kopnął lisa w pysk. Czujniki wewnątrz Przechery oszalały, zalewając kabinę szkarłatnym blaskiem.

– Nieistotne – warknął Sikorski.

Teraz miał większe zmartwienia na głowie. Musiał znaleźć lukę w jego obronie, jakiś słaby punkt i to szybko.

Z pleców Totenkopfa strzeliły chmury ciemnych spalin i ognia, gdy niemiecki pilot uruchomił wtrysk metanolu oraz wody do silnika. Nawet zamknięty wewnątrz swojej maszyny Sikorski słyszał potępięncze wycie osiemdziesięciu cylindrów, które wprawiały w ruch niemieckiego mecha. Z uszkodzonej instalacji paliwowej Totenkopfa zaczęły wyciekać strużki paliwa.

– Benzyna i ogień? – wycedził Si-

korski. – Fatalne połączenie.

Totenkopf wymierzył prawe ramię w Przecherę, gotów rozstrzelać obalonego przeciwnika na kawałki. Sikorski wdusił przycisk zapasowego napędu, uruchamiając silniki na grzbiecie Przechery. Mechaniczny drapieźnik odskoczył na bok w ostatniej chwili. Ułamek sekundy później powietrze wypełnił przeraźliwy jazgot czterech działek. Nawet wykorzystując wspomaganie mieszanką metanolu i wody Totenkopf nie był w stanie nadążyć za biegnącym Przecherą. Przy najmniej na razie, bo rosnąca ilość czerwonych lampek ostrzegawczych w kabinie podpowiadała Sikorskiemu, że ta gonitwa nie może trwać wiecznie.

Przechera zatrzymał się gwałtownie i pognął wprost na Totenkopfa. Pociski wybuchały tuż za płonąca kitą lisa, wyrzucając w powietrze kolumny ziemi. Lada moment miały przebić pancerz lisa, ale Sikorski docisnął przepustnicę do oporu, niemalże wyginając manetkę. Przechera przebiegł między nogami przeciwnika, podpalając kałużę zbierającej się na ziemi benzyny. Zanim Totenkopf zdążył się obrócić, lis wskoczył na jego plecy, zatapiając pazury w szczelinach nitowanego pancerza.

Strumienie ognia bluznęły z pyska Przechery, wlały się do układu wydechowego Totenkopfa i dotarły do ukrytego pod pancerzem silnika. Niemiecki kolos zamarł, gdy płomień dotarł do zbiornika z paliwem.

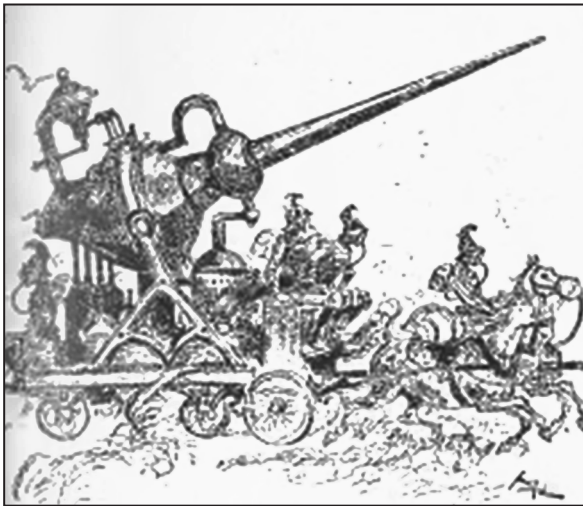
Przechera zeskoczył z przeciwnika.

Moment później Totenkopf eksplodował, a jego dymiące truchło upadło na plecy, miażdżąc pod sobą most kolejowy. Chmura parującej wody wzbiła się w powietrze, gdy stalowy szkielet znieruchomiał pośrodku rzeki.

– Kolejna udana akcja – stwierdził Sikorski z zadowoleniem.

Most kolejowy na Olzie znowu należał do powstańców, a raczej to, co z niego zostało.

Lisioł



Jedna z armat 8-mej baterji chemicznej, „Naokoło Świata” 1924, nr 3, s. 79-90. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

KOSZMAR W BRZEŻCACH

Kazimierz Bochnacki, jedyny powstaniec ocalały z walk pod Brzeżcami, konał powoli w jakimś prowizorycznym namiocie medycznym. Podczas starć ktoś postrzelił go w brzuch i uszkodził mu żołądek, co z kolei wywołało groźny stan zapalny. W obecnych, trudnych warunkach Kazik miał małe szanse na przeżycie, ale kazano mu wytrzymać, żeby jakaś ważna szychy usłyszała bezpośrednio z jego ust niewiarygodną relację z przebiegu walk. Kazimierz był dobrym żołnierzem i bardzo wytrzymałym człowiekiem. Obiecał więc, że wytrzyma.

Gdy po wielu godzinach w namiocie pojawił się Wojciech Korfanty we własnej osobie, wszyscy ranni ochoczo okazali swój szacunek przywódcy powstania. Wielu łudziło się, że Korfanty ocali ich od śmierci i przepędzi zbliżającą się nieubłaganie kostuchę. Niestety, dowódca po kilku wymienionych uprzejmościach polecił, aby sanitariusze oddzielili od reszty parawanem jego i konającego Kazimierza.

– Jestem – powiedział Korfanty, siadając przy łożu rannego żołnierza – Dziękuję, że wytrzymałeś. A teraz opowiedz mi proszę, co wydarzyło się w Brzeżcach.

– Gdybym wiedział, że to pan do mnie przyjdzie, to posprzątałbym tu trochę – zażartował Kazik, po czym jęknął i chwycił się ręką za brzuch – Tak... Zajęliśmy Brzeżce i wszystko było w porządku, aż zapadła noc. Wtedy się zaczęło, wtedy przyszli do nas ranni...

– Ranni podczas zdobywania wsi?

– Tak, ale pan nie rozumie. Śmiertelnie ranni. Ludzie, którzy wcześniej padli...

– Ej! Kazik! Widzisz kto tam idzie drogą? – zawołał Stefan, kolega z oddziału i wskazał na postać idącą z oddali ku Brzeżcom.

– Ni cholery! – odkrzyknął Kazimierz, który stał na warcie przy wschodniej granicy wsi. – Zbyt ciemno już się zrobiło! Hej! Swoją czy wróg?! Stój i odpowiadaj!

Intruz nie zareagował, nadal zbliżał się do wsi powolnym krokiem, szurając przy tym dziwnie nogami.

– Stój mówię! – zagroził Kazik i oddał ostrzegawczą serię z karabinu tuż pod nogi nieznanego. Nic to nie dało. Postać nadal zbliżała się do nich powoli.

– Kazik, to chyba jeden z naszych! – zawołał Stefan, który podbiegł w międzyczasie do kolegi – Tak! Poznaję po czapce! To przecież Karol Fenbaum!

Kazik spojrzał na Stefana z wysoko uniesionymi brwiami. Doskona-

le pamiętał, jak Karol podczas bitwy padł od strzału prosto w głowę. Żołnierz zerknął ponownie na ścieżkę i prawie upuścił swój karabin. Faktycznie szedł do nich martwy kompan, za nic mając sobie śmiertelną ranę postrzałową. Karol sunął ku wsi sztywnym krokiem, patrząc na nich jedynym, ocalałym okiem. Zamiast drugiego oka widać było ogromną dziurę i kawałek czaszki. Stefan zaświecił lampą naftową wprost na zbliżającego się upiora, co zadziało na niego niczym płachta na byka. Chodzący trup zawył przeraźliwie i zaczął biec w stronę powstańców. Nieco koślawo, zataczając się, ale nieubłaganie w ich kierunku. Z jego otwartych ust sączyła się krew i ślina, a rękami machał jak oszalały.

– Nie podoba mi się to. Strzelaj Kazik, po prostu strzelaj – wyszeptał Stefan i przeżegnał się trwożnie.

Kazimierz nie był w stanie strzelić do niedawnego towarzysza, bez względu na, jak ten okropnie by nie wyglądał. Zamiast tego patrzył, jak Karol dobiega do nich i wyjąc jak potępieniec rzuca się wprost na Stefana. Mężczyźni zaczęli się szamotać po ziemi, a zdezorientowany Kazik próbo-

– Co tam się dzieje do cholery! Czemu strzelacie?! – zawołał ktoś z oddali, zza jednej z wioskowych chałup.

Kazik nie zdążył odpowiedzieć, jego wzrok przykuło coś na horyzoncie. Spomiędzy rosnących za Brzeżcami drzew kilkadziesiąt postaci zaczęło maszerować w stronę wioski, dokładnie tym samym, sztywnym krokiem co wcześniej Karol.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece, ich jest więcej... – wyszeptał Kazimierz i strzałem w głowę dobił wijącego się na ziemi, oszalałego upiora – Stefan, jesteś cały? To są trupy! Chodzące trupy!

Stefan nie odpowiedział. Zamiast tego wychylił się zza płotu i spojrzał na Kazika błędnym wzrokiem. Uśmiechnął się nieco dziwnie, oblizał usta i skoczył w stronę towarzysza, zawodząc przy tym gardłowo. Kazik niewiele myśląc strzelił w nogi przyjaciela i cofnął się o kilka kroków. Zdążył zobaczyć, jak tajemnicze sylwetki pozostałych martwych zaczęły biec w stronę zabudowań, odpowiadając skowytem na makabryczne wycie odmienionego Stefana. Niektórzy z upiorów mieli karabiny i zaczęli strzelać przed siebie na oślep.



Stala masa, okropna, upiorna, „Naokoło Świata” 1926, nr 24, s. 31-32. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

wał wycelować w oszalałego napastnika.

– Strzelaj do cholery! On mnie gryzie! – zawołał Stefan i odepchnął przeciwnika z całych sił.

Kazik strzelił w nogi truposza, przez co ten upadł na ziemię i zaczął czołgać się w stronę Stefana, ciągle zawodząc niczym dzikie zwierzę. Stefan z kolei zerwał się na nogi, odskoczył za najbliższy płot i spojrzał z przerażeniem na swoją dłoń, u której brakowało mu palca wskazującego.

– Alarm! Atakują! – wołał Kazimierz, pędząc do wsi, gdzie odpoczywała reszta jego oddziału.

Usłyszał, że po drugiej stronie zabudowań też rozległy się strzały i dziwne, zwierzęce nawoływania. Z tamtej strony, to musieli być już martwi Niemcy, choć pewnie równie szaleni i krwiożerczy co polegli Ślązacy. Wyglądało na to, że Brzeżce zostały otoczone przez armię umarłych.

– Nacierali tak całą noc. My ich zabijaliśmy, a oni po chwili wstawali i atakowali ponownie – opowiadał Kazimierz, patrząc na strapioną twarz Korfantego – Koszmar skończył się, gdy wstało słońce, ale nas była już tylko garstka. I wtedy przyszli Niemcy. Musieliśmy uciekać, poddaliśmy Brzeżce. Tylko mi się udało dotrzeć aż tutaj, a widzi pan jakim kosztem. Czy... Wierzy mi pan? Ja wiem jak to wszystko brzmi, ale to prawda, to były chodzące trupy!

– Dotarły do mnie też inne, niepokojące wieści – odpowiedział Korfanty, odwracając wzrok i patrząc gdzieś w dal – Niemcy chcą zawieszenia broni. Przekonywali mnie, że powinniśmy razem walczyć z upiorami, dopóki są jeszcze jacyś żywi na tym świecie. Wyśmiałem ich wtedy, uznałem to za kpinę, bezczelny żart. A później ktoś przekazał mi twoją historię.

– Niech pan się nie zgadza! – zawołał rozpaczliwie Kazik i chwycił Korfantego za ramię. – To wszystko pewnie ich sprawka! Niech pan odpowie tym w Berlinie, że...

– Nie ma już Berlina – przerwał mu dowódca i spojrzał na niego ze smutkiem w oczach – Miasto padło pod naporem trupów. Dowiedziałem się o tym godzinę temu. Nieumarli nacierają na nas z każdej strony. Dlatego oboście tu przybyłem. Miałem nadzieję, że powiesz mi, jak walczyć z tymi potworami. I zrobiłeś to, za co dziękuję.

– Tak? – zdziwił się Kazimierz, po czym opadł na poduszkę bezwładnie i przymknął oczy – To... To dobrze. Chociaż nie rozumiem.

– Wiem już, że drażni ich światło – wyjaśnił cierpliwie Korfanty i wstał z krzesła. Zbierał się powoli do wyjścia – Wiem też, że tą klątwą można zarażać się przez ich ugryzienie. To nam bardzo pomoże z nimi walczyć.

– Ale już beze mnie, prawda? – zapytał Kazik słabym głosem.

– Przykro mi. Możesz teraz... – Korfanty zawahał się wyraźnie, nie mając pojęcia jak zakończyć ostatnie zdanie – Odpocząć.

– Nie zostało mi wiele czasu – stwierdził ranny, powstrzymując odchodzącego dowódcę w pół kroku. Korfanty spojrzał na niego i kiwnął głową. – Jak już umrę, to musicie spalić moje ciało. Nie chcę was później... Nie chcę walczyć ze swoimi.

– Wiem. Nie chciałem cię tym teraz martwić. Nadal nie wiemy skąd bierze się ta plaga, więc zachowamy wszelkie środki ostrożności. Bądź spokojny. Dziękuję za wszystko – Korfanty odsunął parawan i ruszył żwawym krokiem w stronę wyjścia z namiotu. Nie miał czasu do stracenia, musiał przygotować cały Śląsk na inwazję żywych trupów.

Emil Zawadzki

OSZUSTWO NA TRUPA

Grób był płytki, ledwo przysypa-ny ziemią. Nie starczyło czasu na pochowanie ich w odpowiedni sposób. Oprawa, zwykle towarzysząca tego rodzaju obrządkom, została w większej części zaniechana i skrócona do niezbędnego minimum. Na tyle, by zrozpaczone rodziny były w stanie się z nimi pożegnać. Każdy drobny szczegół ceremonii został dokładnie omówiony, każdy gest przeanalizowany, każde słowo przemyślane. A i tak zdarzyło im się kilka wpadek.

Ze względu na trwające powstanie śląskie grobów niczym nie ozdabiano. Nie wyobrażano sobie, by ludzie tak im bliscy trafili do tak zwanych mogił zbiorowych, ale i miejsc, które wybierały rodziny w żaden konkretny sposób nie oznaczano. Obawiano się nie tylko mściwych żołnierzy, którzy przybyli do ich kraju, by – przynajmniej wedle oficjalnej wersji – nadzorować prawidłowy przebieg i tak zakłamanego plebiscytu, ale również zwykłych wandalów, którzy niesieni gniewem i niechęcią do innych, niż oni narodowości, rozkopią groby i upodlą biorących udział w powstaniu ludzi.

Z ogromną niechęcią i nieufnością patrzono na obcych, którzy w pełnym rynsztunku bojowym pojawili się nagle na ich ojczystych ziemiach. Ludziom nie chciało się wierzyć, że ingerencja obcych mocarstw w wewnętrzne sprawy kraju, ich kraju, Polski, wyjdzie im na dobre. Wręcz przeciwnie; nauczeni gorzkim doświadczeniem, świetnie rozumieli, że dopiero teraz wszystko tak naprawdę może się posypać. I nie będzie, co zbierać...

Wszyscy, jak jeden mąż, byli zdania, że każdy powinien załatwiać swoje sprawy. A w cudze problemy najlepiej się nie wtrącać. W przysiedze, którą składają lekarze na początku kariery jest wyraźnie napisane: przede wszystkim nie szkodzić.

Tu szkodzono i to tak bardzo, że ludziom chciało się płakać ze złości. Zaciskali pięści w bezsilnym gniewie, głośno przełykając ślinę i zastanawiając się, co przyniesie im jutro.

Czy jutrzejszy dzień będzie lepszy od dzisiejszego? I czy na pewno obudzą się jeszcze jako wolni ludzie?

Zwłaszcza, że najnowsza, roznoszona wraz z zimnym, zachodnim wiatrem plotka głosiła, że w mieście, wraz z przemarszem obcych wojsk pojawili się również inni ludzie. Dziwni ludzie, których nie sposób było zakwalifikować inaczej, niż naukowcy. Dla niektórych byli zwykłymi oszustami albo szarlatanami...

Ogłaszali wszem i wobec, że wiedzą, jak przechrzyć śmierć. Ich dokonania miały być opisane w „Tygodniku Powszechnym”, jednym z najbardziej popularnych w tamtych latach magazynie.

Wstępne badania przeprowadzone przez nich na celowo pozbawionym życia psie oraz szesnastolatku, który przebywał pod wodą około dziesięciu minut, udowodniły, że mieli rację. Zajęli się nawet zaprojektowaniem i produkcją maszyny, która miała im pomóc w prowadzeniu dalszych badań.

Ich krytycy zgodnie twierdzili, że na próbach się zakończyło. Maszyna nie tylko nie działała tak, jak w gruncie rzeczy powinna, ale doprowadziła do tego, że naukowcy ośmieszyli nie tylko samych siebie, ale i całą dyscyplinę, którą się zajmowali.

Ci, którzy uważali się za nieco mądrzejszych, powiadali, że historia związana z ich niepowodzeniem była potrzebna wojsku, które za jakiś czas, gdy cała wrzawa wokół naukowców w końcu ucichnie, przejmie urządzenie i wykorzysta je do trwającego aktualnie plebiscytu.

Francuscy naukowcy, dr Laborde oraz jego asystent, pan Monche, dostali wysoką, wojskową pensję, wygodny lokal, w którym mieli przez jakiś czas mieszkać, aż do czasu ukończenia eksperymentu oraz doskonale wyposażone laboratorium, przygotowane do przeprowadzenia dalszych, niezbędnych badań.

Ludzie coraz bardziej zaczynali się burzyć, zwłaszcza, że dwaj francuscy goście, naukowiec i jego wierny asystent, wcale się ze swymi działaniami nie kryli. Chodzili po mieście, czasem nawet wybierali się do innych, bliż-

szych, czy dalszych miejscowości i wypytywali ludzi o zmarłych zakopanych w bezimiennych mogiłach. Najbardziej interesował ich jednak powstały w mieście Mur Pamięci...

Kiedy mgła unosiła się nad ziemią, a miasto zapadało w niespokojny sen, dr Laborde udawał się codziennie na nocny spacer, w towarzystwie swego nieodłącznego asystenta.

Ludzie, którzy z różnych powodów nie mogli wtedy zasnąć, opowiadali, że słyszeli wyraźne odgłosy, mogące świadczyć o rozkopywanej za miastem ziemi. Często nad ranem, gdy w końcu ukazywało się słońce, można było dostrzec dwa długie, ciągnące się w stronę centrum pasy poprzecinane tu i ówdzie ziemi.

Mieszkańcy szeptali między sobą, że osoby, które przybyły na ich ziemię w celu zorganizowania plebiscytu, posuną się tak daleko, jak tylko będą mogły, by wygrać.

Choćby mieli w tym celu ożywić tyle trupów, ile tylko się da. Cena nie grała tu roli. Liczyło się tylko jedno. Zwycięstwo. Nie okupione potem i krwią, ale wiedzą i zdobytym podczas eksperymentów doświadczeniem.

Asystent, niski człowieczek o szczurzym wyglądzie i równie podłym charakterze, zaczesał do tyłu tłuste włosy trzęsącymi się rękami. Widać było, że wyraźnie zbiera się w sobie, nim znów odważy się dotknąć trupiej twarzy, mocno rozchylić sine

usta i siłą wyciągnąć stamtąd ośliszy język. Nie mógł się do tego przyzwyczaić, wzdrygał się za każdym razem. Jedynym argumentem, który zawsze na niego działał, była sława i związane z nią pieniądze. Tak, apetytu na nie z pewnością mu nie brakowało. Liczył, że pod ich wpływem zmieni swe marne życie i nada mu jakiś sens.

Szybko policzył do trzech. A potem zrobił to po raz drugi. Tym razem było trudniej. Nie mógł się przełamać, być może z tego powodu, że leżało przed nim zaledwie osiemnastoletnie dziecko. Czy tak młody człowiek zostanie dopuszczony, by zagłosować?

Asystent, by pozbyć się nieprzyjemnego doznania, jakim było zetknięcie z tak ośliszą i wyjątkowo nieapetycznie wyglądającą częścią ciała, mył ręce po dziesięć razy dziennie. Najpierw przez kilka minut moczył je w chłodnej, lecz nie za zimnej wodzie, potem nie żałował do nich ręcznie robionego mydła i twardej szczotki, by na koniec opłukać je w misce, z której przez cały dzień korzystali ich klienci, głównie wojskowi. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Choroba – jak to z chorobami bywa – pojawiła się niespodziewanie. Nikt specjalnie jej nie wyczekiwał.

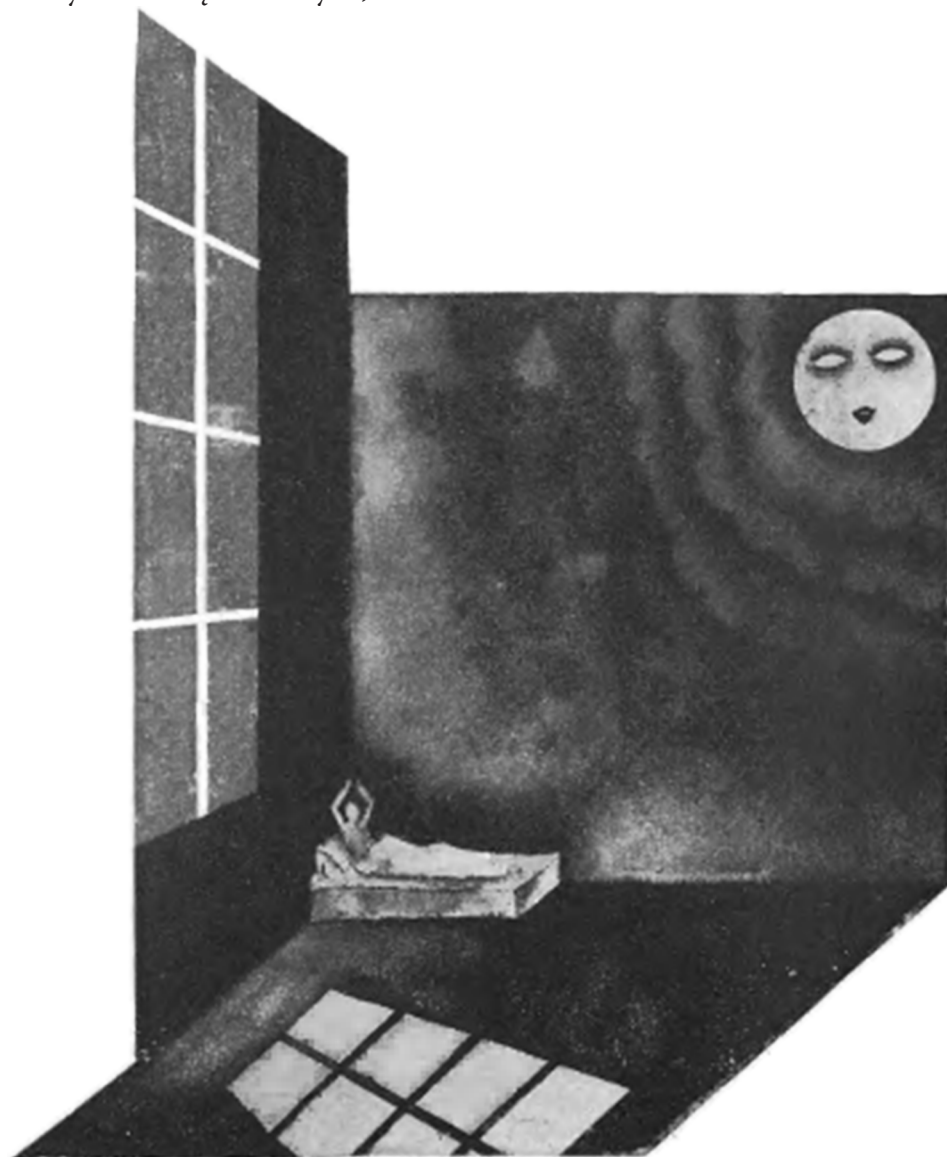
Najpierw na skórze pojawiły się białe i czerwone bąble. Szybko okazało się, że po kilku godzinach zaczynają pękać, oblewając ciało śmierdzącą wydzieliną. Najgorsze miało dopiero nadejść; swędzenie nie chciało ustąpić, choć młody człowiek stosował na nie odpowiednie środki. W końcu – desperowany i z podkrążonymi oczami – posunął się do ostateczności. Wybrał się do aptekarza po odpowiedni specyfik. Wprawdzie roztwór, znany bardziej jako Płyn Fowlera był stosowany głównie w leczeniu łuszczycy, ale często zapisywano go ludziom z innymi chorobami skóry. Jego przedawkowanie mogło okazać się śmiertelne, ale kto przy zdrowych zmysłach przejmowałby się czymś takim, jak zatrucie tonikiem. Zresztą, wielu specjalistów twierdziło, że jest to zgoła niemożliwe.

Dlatego dr Laborde zdecydował, że on także będzie z niego korzystał. Zapobiegawczo.

Płyn Fowlera był stosowany przez nich tak często, jak to tylko możliwe. Korzystali z każdej okazji, by przemyć ręce tonikiem. Wkrapляли go i wklepali go w skórę całego ciała, wdychali, wierząc w jego cudotwórcze działanie.

I pewnego dnia już się nie obudzili. Choć miejscowi sprowadzili księdza, by mieć pewność, że niczego nie przeoczyli, niczego nie zawinili.

Obaj mieli teraz szansę wziąć udział w swoim oszustwie. Na trupa.



W tęczowym obłoku zapaliło się małe słońce, „Naokoło Świata” 1926, nr 28, s. 113-114. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa

U235 Pu239 – Powstanie z mroku

11 listopada 2018 r. o godzinie 8:00 wylądowałem na lotnisku „Okęcie” w Warszawie. Miałem jeszcze do pokonania ponad ok. 300 km pociągiem – postanowiłem zatrzymać się w „stolicy” Górnego Śląska i odbyć podróż śladami prapradziadka – jednej z najbardziej znanej postaci w historii Śląska lat 1919-1921 – Wojciecha Korfantego.

Usiadłem w wagonie gdzie dwóch mężczyzn z entuzjazmem rozmawiało o planowanym na godzinę 13:00 rozpoczęciu ważnych testów nuklearnych w rozbudowanej rok wcześniej o najnowocześniejszy reaktor jądrowy Elektrociepłowni Katowice. Miał to być pierwszy taki obiekt w Polsce. Ich ekscytacja, a zarazem obawy, były dla mnie dość niezrozumiałe – w Stanach takie testy są prowadzone od wielu lat, regularnie i nie są niczym nadzwyczajnym. W rozmowie kilkakrotnie padły nazwy Czarnobyl i Prypeć – o których historii usłyszałem dopiero kilka miesięcy później...

Dokładnie o godzinie 13:13 dotarłem do Katowic. W momencie, gdy przemierzałem podziemny tunel łączący peron z budynkiem dworca, mijałem ludzi ogarniętych paniką. W zlepku nakładających się chaotycznych krzyków dało się wyłapać hasła:

- To koniec!
- Zabezpieczcie wszystkie wejścia!
- Jak można było na to pozwolić!
- Niech nikt, pod żadnym pozorem nie opuszcza dworca!

Spanikowany tłum wplatał również dwa, usłyszane w przedziale słowa „Czarnobyl”, „Prypeć”, „bomba jądrowa”. Wtedy pierwszy raz przeszło mi przez myśl, że mój zaplanowany na trzy tygodnie urlop w Polsce prawdopodobnie zmieni się w pozostanie tu na całe życie...

Choć wszystkim ocalałym świat przewrócił się do góry nogami, w obrębie tuneli i budynków należących do dworca głównego w Katowicach życie płynęło spokojnym nurtem. Ludzie, którym udało się przeżyć szybko zaakceptowali nową rzeczywistość.

Zawiązały się nowe znajomości i przyjaźnie. Wszyscy, którzy ocaleli mieli świadomość, że są skazani tylko na siebie. Nie było elektryczności, a co za tym idzie wszelkich możliwych pożytków czasu. Ludzie na nowo zaczęli doceniać obecność drugiego człowieka. Zapasy jedzenia z mieszczących

się na terenie dworca lokalach gastronomicznych pozwoliły na przeżycie przez jakiś czas. Jednak rok po katastrofie atomowej, która swoim zasięgiem zrównała z ziemią tereny całego Śląska, jedzenia powoli zaczynało brakować.

Podczas jednej z wieczornych „męskich” posiedzeń w części poczekalni w budynku głównym, w miejscu gdzie przed katastrofą znajdował się McDonald’s wraz z Romkiem, Jankiem i innymi mężczyznami w podobnym do naszego wieku oglądaliśmy przez szklaną ścianę wychodzącą na Pl. Szewczyka drugą stronę „nowej rzeczywistości”. Miasto widmo fascynowało mnie w niezdrowy, prymitywny sposób. Tego dnia Romek postanowił opowiedzieć nam jak trzy lata przed katastrofą, gdy w Polsce zaczęło być głośno o nowym projekcie Elektrociepłowni Katowice, wybrał się wraz ze znajomymi na wycieczkę za wschodnią granicę, do strefy widmo – tzw. Zony. Miejsce to, pomimo skażenia, było zamieszkane przez najstarszych mieszkańców tych ziem.

- Naprawdę nigdy nie słyszałeś o Czarnobylu? – zwrócił się do mnie
- Nie, ale o testach nuklearnych słyszałem wielokrotnie. U nas, w Stanach, są prowadzone regularnie i są jedną z bezpieczniejszych form badań nad pozyskiwaniem energii.
- 26 kwietnia 1986 r., w bloku energetycznym nr 4 Elektrowni Jądrowej w Czarnobylu... – rozpoczął swą opowieść Romek.

Gdy opowiadał o zniszczeniach, nieścisłościach w komunikatach, zatajeniach, teoriach spiskowych i ludziach, którzy pomimo skażenia nie opuścili swoich domów, i żyją tam do dziś, nagle coś jakby mnie „ukuło”.

– Chłopaki! A jeśli to co mówią do nas przez radio, że ziemia jest skażona i wyjście poza bezpieczną strefę grozi śmiercią? Gdyby tak wyjść poza „bezpieczną strefę”. Może nie jest tam tak źle jak to wygląda przez okno i jak to przedstawiają!? Skoro w Zonie po katastrofie w Czarnobylu niektórzy ludzie przeżyli, być może dla Nas też jest szansa! Sprawdźmy to! – wykrzyczałem z entuzjazmem – a jak się uda to obiecuję, że każdemu z ocalałych mieszkańców zorganizujemy na start „krowę” z ościennych regionów Śląska, która pozwoli na wykarmienie rodzin do czasu, gdy nie wróci on w pełni do normalności – dodałem z sarkazmem.

I tak właśnie, pod koniec 2019 r. rozpoczęły się przygotowania do najważniejszej dla mnie ekspedycji mającej na celu przywrócenie tętniącego życiem Śląska na mapach Polski...

Pierwsze wyjście zorganizowaliśmy w połowie 2020 r. Razem z Romkiem i Jankiem postanowiliśmy wyruszyć z punktu wejścia głównego od strony Pl. Oddziałów Młodzieży Powstańczej w kierunku Placu Sejmu Śląskiego, gdzie jako pierwszy cel wyprawy obraliśmy pomnik mojego prapradziadka. Jako potomek najważniejszego w historii Górnego Śląska przywódcy, a jednocześnie wkrótce okrzykniętym jego następcą w dziejach historii, nie mogłem wybrać inaczej! W głębi duszy liczyłem, że jego duch będzie prowadził mnie przez buntownicze powstanie, którego stałem się prowodyrem i przywódcą.

Ekspedycja przebiegła spokojnie, jednak nieco ponad kilometrowy „spacer” w jedną stronę był dla mnie zapadającym na całe dalsze życie w pamięć przeżyciem. Opustoszałe kamienice wzdłuż pierzei ul. Batorego, przerażający plac Miarki, na którym stał tramwaj widmo. To on był chyba pierwszym najbardziej drastycznym zdarzeniem z nową rzeczywistością. Ku moim oczom ukazał się odrzucający widok wysuszonego ciała z przerażającym wyrazem twarzy, znajdującym się na miejscu motorniczego. Podobne „mumie” widziałem jedynie w telewizji. Kolejne „zmumifikowane” ciała, które napotykailiśmy przy ul. Lechonia, Plebiscytowej czy Jagiellońskiej, leżące na ulicach, czy „spoglądające” na nas zza szyb samochodów, nie robiły już na nas wrażenia. Czas w centrum Katowic się zatrzymał, a naszym głównym celem było nakręcić ten zegar, by mógł ruszyć od nowa. Gdy dotarliśmy do celu, którym był Plac Sejmu Śląskiego, zamarliśmy.

– Wojtek! Tam ktoś jest! Jak to możliwe? Przecież po drodze mijaliśmy same trupy! – Janek nie krył przerażenia.

Tajemnica postać stojąca przed pomnikiem mojego prapradziadka usłyszała krzyk Janka i z równie ogromnym przerażeniem wypisanym na twarzy odwróciła się w naszą stronę.

– Kim jesteście?! Jak to możliwe, że żyjecie? Gdzie udało się wam schronić? – krzyknęła tajemnicza postać.

Podeszliśmy bliżej, opowiedzieliśmy naszą historię, historię

osób, które przeżyły dzięki temu, że dworzec główny przystosowany został niegdyś pod schron atomowy. Tajemniczą postacią okazał się Alfons – przywódca ocalałych na dworcach w Sosnowcu i Bytomiu. Opowiedział nam również, że przemierzył wszystkie dworce na terenie całego Górnego Śląska i na każdym z nich jest życie. To właśnie wtedy, pod pomnikiem śląskiego bohatera Wojciecha Korfantego, zapadła najważniejsza decyzja o przyszłości ludności Górnego Śląska. Był to prawdziwy początek przełomowych wydarzeń.

Przez kolejne miesiące uczestniczyliśmy w ekspedycjach zwiadowczych, eksploracyjnych. Angażowaliśmy w nie coraz więcej osób zarówno z oddziałów naszych, Alfonsa czy innych

5 lipca 2021 r. wszyscy mieszkańcy dworców rozsianych na obszarze aglomeracji śląskiej, pod dowództwem moim i Alfonsa podczas ostatniej ekspedycji, po której miał nastąpić przełom, wyruszyli trasą przebiegającą przez al. Wojciecha Korfantego do Placu Powstańców Śląskich, gdzie pod Pomnikiem Powstańców spotkać się mieliśmy z zastępem Alfonsa. Nie przypadkowo wyznaczyłem ten szlak. Pozostali przy życiu mieszkańcy katowickiego dworca mieli powrócić na powierzchnię w celu ponownego zasiedlenia. Przez kolejne miesiące pracowaliśmy dzień i noc przy oczyszczaniu i przywracaniu miasta do stanu, który umożliwi powrót do normalności. Rąk do pracy nie brakowało, gdyż każdy z ocalańców, szczególnie tych od pokoleń związanych z ziemią Śląska, czuł ogromną potrzebę odbudowania swojej „ojczyzny”. Ja również poczułem więź z tym miejscem – wiedziałem, że prapradziadek, Wojciech Korfanty, czuwa nade mną i motywuje mnie do działania. Udało się! Dziś, gdy opowiadam tę historię, minęło 10 lat od wspomnianych wydarzeń. Śląsk znów tętni życiem, a ja każdego roku odwiedzam to piękne miejsce.

Dominika Panaszek

REDAKTOR NACZELNY: prof. dr hab. Zygmunt Woźniczka, ZASTĘPCA REDAKTORA: dr Karol Makles

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: dr Michał Spurgiasz, Natalia Wilczek, Rafał Piotrowski, Magdalena Szczepocka, dr Malwina Wojtala, Aleksandra Goniewicz.

AUTORZY TEKSTÓW: prof. dr hab. Zygmunt Woźniczka, Grzegorz Czapski, Przemysław Karbowski, Maciej Rapa, Kamil Bednarek, Małgorzata Sikora, Lisiol, Emil Zawadzki, Patrycja Paliczka, Dominika Panaszek.

SKŁAD I ŁAMANIE: dr Michał Spurgiasz, Katarzyna Kiołbasa.

ISBN 978-83-960932-6-4 Nakład: 5.000 egz.